Opłata pocztowa opłacona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Z podjazdu na cietrzewie (Polesie). Fot. Andrzej Dobrski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 10 (665) 5 MARCA 1932 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Kozackie bagno. Fot. Marja Zalęska.

ZEW ŁOWÓW.

Ze śmiercią pana Wacława, wygasły w Baniowie tradycje myśliwskie. Późniejszy właściciel majątku, syn Jurek, dawny mój kolega i przyjaciel, nie lubił polowania, a sprzedawszy dubeltówkę — zerwał tem samem ostatecznie z łowiectwem. Jedynem wspomnieniem myśliwskiej przeszłości był krótkowłosy wyżeł Grom, który pędził teraz swój bezczynny żywot w pobliżu kuchni i czasem tylko, pod wpływem dawnych wspomnień, robił stójkę do kwoki z kurczętami.

Z Gromem łączyły mię specjalnie serdeczne stosunki. Byłem bowiem jedynym obecnie myśliwym, polującym podczas swych wizyt urlopowych w Baniowie. Mądry wyżeł cenił mię bardzo i otaczał dużą serdecznością. Ilekroć tylko usiadłem na ławce w ogrodzie, Grom zbliżał się cichutko, by swą osobą nie rozpraszać moich dumań i układał się na ziemi, lub, widząc, iż go już zauważyłem, wsuwał mi na kolana swój duży łeb, o mądrych, orzechowych oczach, potrząsając nerwowo brunatnym aksamitem zwisających uszu. Ośmielony serdecznem przyjęciem, ulokowywał mi jeszcze zazwyczaj na kolanach białą, o szorstkiej podeszwie łapę i patrzał mądrze w oczy, jakby chciał z nich wyczytać termin najbliższej myśliwskiej wyprawy.

Smutne było jego życie. Jurek lubił wprawdzie wiernego towarzysza ojcowskich łowów, lecz go nie rozumiał. Ulokowany w kuchni, pies tracił cenny węch, a stara Michalina, będąca mistrzynią baniowskiej sztuki kulinarnej, podejrzewała go ustawicznie o złe zamiary w stosunku do leżącego na stole mięsiwa i, bez żadnej uzasadnionej przyczyny, karciła surowo każdy ruch biednego legawca. Natenczas wyżeł uciekał na podwórko, a ułożywszy się na miękkiej rabacie kwiatowej, całowany złocistemi blaskami słońca, drzemał roskosznie, warcząc przytem lub cicho pomrukując. Śniły mu się rozległe, złote ścierniska, przetykane szmaragdowemi pasami odrastającej koniczny, po których ongiś buszował swobodnie w pogoni za rozproszonem stadem kuropatw. Wrześniowe słońce pieściło ziemię swym bladym, gasnącym promieniem. W powietrzu snuły się wiotkie, jedwabiste pajęczyny, unoszone powiewiem wiatru w niedościgłą dal, w której majaczył niewyraźnie klucz odlatujących żórawi, żegnających drzemiącą w leniwej beztrosce ziemię tęsknym klangorem. Drgały miarowo nozdrza Groma, wyczuwając już zda się ostry zapach dotrzymującej kury. Otwierał wtedy oczy i zdając zapewne sobie sprawę z nierealności tych wrażeń, wzdychał ciężko, niemal boleśnie.

Lecz miewał i dni szczęśliwe. Skoro tylko koła podjeżdżającego powozu zadudniły głucho przed gankiem, a z jego wnętrza wyłoniła się moja postać — Grom z przeraźliwym skowytem, zawierającym w sobie całą gamę radosnych pisków, rzucał się na spotkanie, liżąc po rękach i za wszelką cenę starając się swym różowym językiem dosięgnąć moich policzków. Jutrzejszy świt zastawał nas już zawsze w drodze ku sztywnym łanom łubinu, czy też karbowanym pólkom ziemniaczanym. Te rzadkie dni odnawiały dawne jego wspomnienia i przeżycia, stawiając mu przed oczy epizody odległych łowów w pierwszem jego polu. Lecz szczęśliwe dla Groma chwile nie trwały dłu-

go. Kilka dni, czasami tydzień i znowu powóz ukazywał się przed gankiem, a żegnany bolesnem wejrzeniem czworonogiego towarzysza, odjeżdżałem do miasta.

Upłynęło sporo czasu. Wróciwszy kiedyś z biura do domu, zastałem list od Jurka. Znając jego wrodzony wstręt do pióra, zdziwiłem się niezmiernie, a spodziewając się czegoś niezwykłego — otworzyłem kopertę. Nowina, o której pisał przyjaciel, szczerze mię zmartwiła: Grom postradał wzrok. Włócząc się po kuchni, trafił wypadkowo pod nogi kucharce w chwili, gdy ta niosła rondel z wrzącą wodą. Skutek zderzenia był okropny. Naczynie runęło psu na głowę, parząc straszliwie łeb zwierzęcia i oczy. Nawet natychmiastowa pomoc weterynarza, bawiącego akurat w majątku nic nie pomogła i Grom oślepł. Dopiero teraz doczekał się biedak zasłużonego uznania; przeniesiono go bowiem do pokoju i otoczono względnym komfortem.

A mnie tymczasem nawał pracy przykuł do biurka i uniemożliwił odwiedzenie, choćby na parę dni Baniowa i danie możności płucom odetchnięcia czystem, wiejskiem powietrzem. Czas płynął. Minął sezon jesienny, w którym czułem zda się aromat pól i więdniejącej roślinności, zleciała zima, przynosząca roskoszne sny o zaśnieżonym borze, przez który wyciągniętym sznurem pomyka stado wilcze, przeszła i czarodziejska wiosna, potem lato i nowy sezon jesienny wstąpił w swe prawa, a ja nadal rozpaczliwe czyniłem wysiłki, by wydrzeć się z objęć miasta. I oto stało się. Wypożyczywszy wyżła od jednego ze znajomych, wyjechałem na przeciąg dwóch dni do Baniowa. Zaledwie wysiadłem z bryczki, ukazał się Grom. Jego mętne, spłowiałe oczy bólem przeszyły mi serce. A on tymczasem podniósł łeb i długo, długo wietrzył, jakgdyby nie ufając sobie. Wreszcie się upewnił. Z głośnym skowytem przypadł do mnie i skacząc mi na piersi, okazywał swą niezmierną radość, na co towarzyszący mi Mars, wydawał pełne zazdrości pomruki.

Nie chcąc tracić drogocennych godzin, tego samego jeszcze dnia, po południu, wyruszyłem do najbliższej gajówki. Bojąc się, by ślepy Grom nie zechciał mi przypadkiem towarzyszyć i nie zepsuł polowania, na które z wytęsknieniem tyle czasu już czekałem, wymknąłem się cichaczem w towarzystwie Marsa i wkrótce potem wydeptywałem już cietrzewie na tonącym w powodzi słonecznego światła mszarze. Lecz łowy mi się nie udawały. Zachwalony Mars był bardzo młodym legawcem i mając dotąd do czynienia tylko z kurami lub przepiórkami, nie mógł sobie poradzić z cietrzewiami, zwłaszcza, że akurat trafiał wyłącznie na stare wypiory, które twardy dla niego stanowiły kąsek.

Słońce poczęło się zniżać ku zachodowi, gdy, zziajany, usiadłem na puszystej kępie. Mars legł u mych stóp, a wywiesiwszy różowy ozór, poruszał nim miarowo, sapiąc przytem ciężko. Zmęczone marszem po uginającym się mchu, moje nogi pulsowały gwałtownie, podczas gdy całem ciałem zawładnęło beztroskie znużenie, a myśl szybowała po jakichś bezmiernych przestworzach. Dobroczynne ciepło silnie dogrzewającego „oka dnia" i ostry zapach bagna, oraz butwiejących organizmów roślinnych działały upajająco. Jak długo trwałem w takim letargu — nie wiem. Zbudziło mię z tego odrętwienia ciche warknięcie Marsa. Oprzytomniałem. Podniosłem głowę. W dali, pomiędzy wysokiemi kępami, dojrzałem Groma. Posuwał się wolno. Przystawał. Węchem rozwiązywał zagadkę pokrzyżowanych moich tropów. Wracał i znowu dążył naprzód, aż wreszcie, upewniwszy się co do kierunku — ruszył biegiem w moją stronę. Potykał się o kępy, trącał głową o cienkie, rachityczne sosenki, czasem nawet jęknął z cicha, uderzywszy się zbyt silnie o jakąś niewidoczną dlań przeszkodę. Wkońcu przybiegł. Dawnym zwyczajem złożył mi na kolanach swój duży, okryty bliznami łeb i westchnął ciężko, boleśnie. A ja zrozumiałem i odczułem coś niby wyrzuty sumienia. Uskarżał się biedak na to, iż dziś, gdy nieszczęście pozbawiło go wzroku, pogardziłem jego pomocą i nie dałem mu nawet możności zakosztować tych, tak przez niego umiłowanych roskoszy myśliwskich. Ale zew łowów jest potężny. Biedne, oślepione zwierzę odgadło wszystko i ruszyło moim śladem, by pomimo tysiącznych przeszkód, polegając jedynie na wybornym węchu, znaleźć mnie na odległym mszarze.

Zrozumiałem, iż odmawiać niemej prośbie Groma nie mam prawa. Powstałem. Uradowany kaleka ruszył ochoczo przedemną. Jedynie Mars, jawnie okazując swe niezadowolenie z powodu przerwanej drzemki, wlókł się leniwie za nami. A Grom jakby się odmłodził. Ruchy jego, dawniej bojaźliwe i chwiejne — nabrały pewności i życia. Z podniesionym dumnie łbem, okładał mszar, dochodząc górnym węchem do ukrytej zwierzyny. Wreszcie odnalazł ją, spoważniał, posunął się jeszcze nieco, stanął, zastygł w bezruchu. Cienka skóra uwydatniała każdy jego muskuł, każdy mięsień, jakby cudownie wyrzeźbiony przez prawdziwego artystę i sharmonizowany z całą budową posągowego ciała.

Drżał. Nozdrza chwytały chciwie lubą woń ptaka, pysk strzegł bacznie wskazywanego kierunku. Patrzałem długo na znany, a jednak tak zawsze piękny obraz stójki. Zbliżyłem się wreszcie. Padła komenda. Z głośnym łomotem skrzydeł podniosła się wyrośnięta młódka i zaraz złamana strzałem w locie — uderzyła o miękki kobierzec mchu. Nie miałem serca kazać Gromowi aportować, ale on sam czuł, że i to do niego należy. Skoczył naprzód, lecz zupełnie w innym kierunku. Uderzył się przytem głową o pień sosenki i jęknął żałośnie. Ale jęk ten nie był oznaką fizycznego bólu: zawierał w sobie tylko zrozumienie swej niedoli i głuchą, beznadziejną rozpacz.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI



Z podjazdu na cietrzewie (z cyklu Polesie).
Fot. Z. Wysłouch

W KSIĘŻYCOWĄ NOC LUTEGO.

Już od szeregu dni objął w swe ramiona nieubłagany mróz całą knieję i niema jeszcze widoków ku lepszemu. Krwawo wschodzące słońce na niebios stropie lśni coprawda wesoło, lecz promienie jego nie dają ciepła, a gdy, po krótkiej swej wędrówce, skłoni się ku zachodowi, chwyci srogi mróz silniej, niż na bożym dniu. Najmniejszy powiew wiatru wyczuć się nie da — las powoli zasypia w lekkiej, zimnej mgle. Bystro migocą gwiazdki na bezchmurnem niebie, a księżyc, który niebawem wytoczył się z poza smugi czarnego boru, wnet oblał swym srebrnym i zimnym blaskiem całą knieję, znacząc ciemne smugi cienia drzew na białym kobiercu. Świerki i sosny, przybrane ciężką okiścią, lśnią niezliczoną ilością djamentów w srebrnej poświacie księżyca.

Cisza. I cisza trwałaby grobowa, gdyby raptownie nie została przerwana głośnem i daleko rozchodzącem się: „jauf"!... Lis szczeka! Ludziska mówią, że ma głód i zimno mu jest. Lecz myśliwy śmieje się z tego i mówi, że musiałby on bzika dostać, aby z głodu szczekać miał, a i na mróz jest on odporny; ma przecież w czasie trwania zimy tak gęsto podbite puchem futro, że zimno z pewnością mu wogóle nie dokuczy. Z innego powodu on dzisiaj szczeka i zapomina nawet o łowach i głodzie, gdy czas jego godów miłosnych nadejdzie, w których to liszki, wśród nocy zimowych w lutym, wabią swoich kochanków.

Skomlący lisa głos daleko rozchodzi się pośród nocnej ciszy i wzywa swoich rywali do walki zapaśniczej. Nasz rudek mikita zdąża oszałamiającym go śladem ciekającej się liszki, przyszłej jego kochanki, którą pragnie wypatrzeć — i pojąć!

Droga jego prowadzi wzdłuż lasów i szczerych pól. Spuściwszy nisko swój wietrznik na ślad liszki, kłusem sznuruje poprzez rowy, drogi, zręby i zagaje, rewidując przytem wszystkie napotkane na tym kursie nory lisie.

W tej chwili wyszedł właśnie z takiej lisiej chałupy, otrząsnął zapiaszczone futerko na białym śniegu i dalszym śladem liszki pomknął w las. Nagle usłyszał znany mu głos rywali. Wie on, że do celu już niedaleko i że inni „aspiranci po fachu" już go wyprzedzili. Uprzytomnił sobie teraz, że bez walki napewno się nie obejdzie. Na zew ten jednak pręży muskuły i sierść jeży, aby jaknajprędzej dojść do celu. Wkrótce zauważył dwa samce, ze sobą walczące na polanie i tarzające się w śniegu, i liszkę, dumnie kroczącą naprzód, puszystą kitę niosącą ku górze. Rywale jego to roczniaki, których napewno pokona on, stary wyga! Wiedział też, że jest jedynym władcą tej kniei i żaden mikita ani siłą, ani wzrostem mu niedorówna. Zerwał się więc sprężystym skokiem, galopując, raźno ruszył przed siebie i wkrótce znalazł się pomiędzy rywalami. Dopadł pierwszego lepszego i rozpoczęła się teraz zażarta walka, skutkiem której, zmęczony już poprzedniemi zapasami, legł jeden z jego rywali, mocno poturbowany. Drugi, skorzystawszy z zamieszania popędził śladem za liszką ku gęstemu młodniakowi, lecz i tu wkrótce dogonił go „władca", a, rzuciwszy się na niego, gryzł, szarpał zapamiętale. Niełatwo mu się to udawało, bo rywal ciął ostremi, jak szpilki kłami i bronił się zawzięcie. Jednakowoż w chwili stosownej niedoszły aspirant czmychnął i wkrótce przepadł w czarnym lesie. Rudek mikita, dumny ze swej siły i władzy, został zwycięzcą.

Świtało... Liszka tymczasem uszła już spory kawał. Rudek odnalazł jej ślad, który go doprowadził do wzgórka, porosłego karłowatą brzozą, gdzie liszka obrała sobie norę. Wszedł do środka i w labiryntach jej pomieszkania oddał jej swe miłosne uściski.

A. WIŚNIEWSKI.



SARNA W WIRTEMBERSKIEM PODALPIU.

Za zgodą autora, p. M. Drexlera, pozwalam sobie zwrócić uwagę naszych kół łowieckich, na artykuł „Das Rehwild im Würtembergischen Allgäu", który w nadzwyczaj obrazowy i pouczający sposób podkreśla znaczenie racjonalnego łowiectwa.

„Gdyby trzeba było dowodu na to, że sarna jest najmniej wymagającą, w biologicznem znaczeniu najlżej dostosowującą się do warunków gruntowych i terenowych, a równocześnie najwdzięczniejszą w racjonelnem łowiectwie zwierzyną, niech za dowód posłuży mój mały rewir „Górny las" (należący do lasów państwowych), obejmujący 500 mg. lasu i nie mających łowieckiego znaczenia 2.000 mg. łąk.

Gdy przed dziesięciu laty brałem ten rewir, zwie-

rzostan był w nim znikomy. Nigdy nie był on tam dobry, a wojna i inflacja, i ich następstwa, nie przeszły tu bez śladu, prawie w zupełności niszcząc i tak słaby stan sarn.

Może tuzin capreolidów był wszystkiem, co po objęciu dzierżawy mogłem skonstatować, i z tym skromnym stanem należało zacząć gospodarkę.

Widoki na 1 czerwca nie były więc zbyt powabne i przez trzy lata prawie trzeba było pocieszać się tylko drobną zwierzyną, jak zając, lis i kaczka.

Brak możności podchodów na rogacza wyrównywałem staraniami o urządzenie rewiru, budując ścieżki, czatownie dla obserwacji sarn, zakładając karmniki zimowe, lizawki, tu i ówdzie zasiewając koniczynę.

Krótko mówiąc, starałem się o obfitą i dobrą karmę, bo w moim szpilkowym rewirze, nie można było troski o wyżywienie zimowe zwierzynie samej pozostawić.

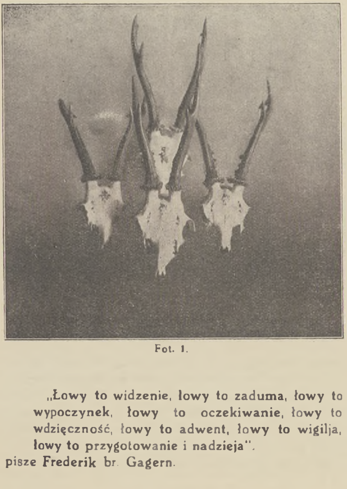
Niemiecki las jest już od dawna okaleczony i zamieniony na fabrykę drewna, więc dziatwy swojej nie może, jak kiedyś, sam wyżywić.

Ochraniałem ciszę leśną przed psami włóczęgami i drapieżnikami, i zapewniałem zwierzynie tak bardzo potrzebny spokój.

Każdy rewir ma sąsiadów, a im jest mniejszy, tem bardziej od tych sąsiadów jest zależny.

Tam, gdzie na granicy rewiru wróg, nienawiść lub egoizm panują, tam o racjonalnem polowaniu mówić nawet nie można.

Właściciel polowania, który sam sobie wystarcza, którego okręg jest tak wielki, że niezależnym jest w swoich łowieckich i hodowlanych poczynaniach od sąsiadów, należy już dzisiaj do rzadkości.



Fot. 1.

„Łowy to widzenie, łowy to zaduma, łowy to wypoczynek, łowy to oczekiwanie, łowy to wdzięczność, łowy to adwent, łowy to wigilja, łowy to przygotowanie i nadzieja".

pisze Frederik br. Gagern.

Lata pielęgnacji, tych parę lat powściągliwości, przeszły tak szybko na wypatrywaniu, zadumie, trosce i radości z dojrzewającego plonu. I gdy dzisiaj cofam się myślami do tych czasów, muszę szczerze powiedzieć, że nigdy nie doznałem znudzenia. Ale też ta powściągliwość i racjonalna pielęgnacja, stokrotny plon wydały.



Fot. 2.

Stan sarn pomnożył się, tu i tam był już ustalony kozioł z dobrą koroną, koło nich kręciła się młodzież szpiczaków, widłaków i mniejszych szostaków.

Teraz przyszła kolej na dalsze, równie ważne i interesujące zadanie.

Wirtemberskie Podalpie jest domeną moren, tej masy gruzu, która po ustąpieniu dyluwialnych lodowców pozostała i dzisiaj jest jeszcze nieomylnym świadkiem kierunku wędrówki, zmarzłej masy wód. W następstwie tego gleba uboga jest w wapno. Gruba warstwa opadłych szpilek zwartych drzewostanów świerkowych, zabija każde kiełkujące życie drobnej roślinności.

Brzozy, klonu, osiki, topoli, dębu, buku lub dzikiego owocu — na lekarstwo! Trochę jodły i ożyny — oto wszystko co w ciężką zimę las mógł zwierzynie ofiarować. Kto zna wpływ gleby i wegetacji na tworzenie się poroża, dla tego jasnem będzie, że tego rodzaju stosunki aprowizacyjne, nie były warunkiem dla kapitalnych, bogatych w perły, róże i tym podobne ozdeby, egzemplarzy.

Fot. 1 przedstawia kilka próbek moich rogaczy, takich, jakich kiedyś miałem większą ilość, jakie i dzisiaj przecież się pojawiają. Te nikłe, cienkie, gładkie, o krótkich odnogach parostki, odzwierciadlają tak wybitnie potrzeby gleby.

Na rozmaitych wystawach łowieckich, obserwowałem ciągle i ciągle ogromny wpływ pożywienia na tworzenie się rogów. Ale moje nienasycone oczy myśliwego rozglądały się także za zbiorami hodowlano-

naukowemi i te obudziły moje specjalne zainteresowanie.

Mówiły one wyraźnie o racjonalnych i nieracjonalnych odstrzałach, wskazywały drogę, którą należało obrać, ażeby z kozłów mojego rewiru, wycisnąć lepsze parostki.



Fot. 3.

I jeszcze coś było mi bodźcem: W cichym zakątku mojego pokoju wisiały parostki (fot. 2), zdobyte w 1888 r. w „Górnym lesie", a więc w moim rewirze, przy okazji „pędzenia". Podziwiając tę kapitalną koronę, stawiałem sobie mimowoli pytanie, dlaczego takich rogów dzisiaj już nie spotyka się i czy przecież cieniutką strugą nie płynie w dzisiejszem potomstwie krew tych znakomitych przodków, która w wartki potok zamienićby się dała? Ale dlaczego nie miałoby to być możliwem! Trzebaby wszystkiego popróbować, ażeby dotrzeć do celu! możeby to i poszło!

W każdym prawowitym myśliwym musi tkwić spora doza optymizmu, jeżeli z pożytkiem dla lasu, zwierza i łowiectwa swą pasję uprawiać pragnie.

Znałem naturalnie mój zwierzostan bardzo dokładnie. Codzienny prawie obchód rewiru, przynosi tę konieczną dla przyszłej hodowli znajomość każdej poszczególnej sztuki. Była więc rokująca najlepsze nadzieje młodzież, ale były też dzieci troski, które, pomimo dobrej paszy i zimowej karmy, nie chciały wykazać poprawy.

Ilość sztuk dorosła wreszcie do moich życzeń, należało teraz zacząć gospodarkę z bronią w ręku. Stawia ona i najlepszym myśliwym wielkie żądania łowieckie; bo, że odstrzał z wyboru, nawet dla najbardziej zamiłowanych, nie jest taki łatwy i w rezultacie przynieść może wiele niespodzianek, to jest doświadczeniem, które i ja nabyć musiałem.

Może niejeden z czytelników pomyśli sobie, że w tak małym jak mój rewirze, sprawa wypatrzenia odpowiedniej sztuki nie jest trudna, strzela się poprostu notorycznie jałowe siuty, ma się baczne oko na mylkiesy, a z młódek strzela się tyle, ile tego stan wymaga. Słusznie, ale proszę nie zapominać o tem, jak bardzo zwodniczemi są... jałowe siuty; wiele razy taka bezpotomna, srodze przy patroszeniu zemściła się. Zewnętrzny wygląd i rozmaite cechy mogą częstokroć mylić.

Jeżeli chodzi o myłkusy i młode sarny, to wybór już jest łatwiejszy, chociaż i tu sparzyć się można. Zdecydowane zdanie, oświetlenie, zaskoczenie — niejednego już psikusa myśliwemu sprawiły. Exempla docent.

Zająłem się usuwaniem wybitnie słabych młódek, płeć piękna miała bowiem być pniem silnej rasy i musiała się składać z najsilniejszych sztuk.

Strzelałem myłkusy i takie rogacze, które po normalnej zimie w początku lipca jeszcze szare były lub wogóle kiepskie wrażenie robiły. Uganiałem się potem za takiemi co pereł nie miały (fot. 1), zaobserwowawszy, że i wieki nie zmuszą ich do przefasonowania niemodnego nakrycia głowy. Ale i tu, pomimo wielkiej uwagi, zdarzały mi się „djabliki".

I tak doszedłem do parostków, jakie na fot. 3 widać. Nie osiągnęły one jeszcze stopnia doskonałości, ale kto mi słuszność przyznać zechce, ten uzna, widoczną poprawę gatunku, w porównaniu z fot. 1.

Wszystkie uwidocznione parostki pochodzą ze zbioru zabitych przezemnie w „Górnym lesie" rogaczy.



Fot. 4.

Dziesięć lat poluję już w tym rewirze. Mój tegoroczny jubileuszowy rogacz (fot. 5) i różki, uwidocznione na fot. 4, mogą służyć za dowód, że w większości wypadków, przy pewnej dozie dobrej woli i zrozumienia rzeczy — i posiadacz małego rewiru, dla którego dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek indziej, niedostępnym jest luksus odrazu urządzonego i wspaniale zagospodarowanego rewiru,—może doprowadzić



Fot. 5.

do najpiękniejszychh rezultatów, a nagroda, jaka go czeka, warta jest zachodu".

W taki to sposób informuje nas p. Drexler o swoich niecodziennych zaiste rezultatach.

Jeżeli nasze stosunki weźmiemy pod uwagę, napewno ten klasyczny przykład wydałby szybsze i lepsze wyniki.

A jak się u nas dzieje? Na podchodach depce się za najkapitalniejszym rogaczem, na zimowych polowaniach wybór jest naturalnie wyłączony i w rezultacie zadanie reproduktorów spełniają osobniki niodpowiednie.

Wiele to razy spotyka się w niektórych okolicach kozły, u których marne parostki w rażącej stoją sprzeczności z ogromnemi rozmiarami i wagą ciała.

Tylko świadome celu łowiectwo może tutaj zaradzić i przynieść poprawę. Zadanie to niewątpliwie wymagać będzie od właściciela rewiru w pierwszych kilku latach wiele powściągliwości, cel jednak będzie dlań stokrotną nagrodą.

ADAM GOŁĘBSKI

KRYZYS ROLNICZY I JEGO WPŁYW NA PRZYSZŁOŚĆ ŁOWIECTWA W POLSCE.

Scisła łączność łowiectwa z rolnictwem musiała spowodować, że kryzys tej gałęzi gospodarstwa w Polsce ujemnie wpłynął na sprawy, związane z naszym zwierzostanem. To zagadnienie, choć było już poruszane w prasie, nie jest należycie oceniane przez społeczeństwo i nawet przez samych myśliwych. Bardzo słusznie podkreślono w ostatnich numerach „Łowca", że podniesienie zwierzostanu u nas nie jest zasługą jakiegoś kollektywnego wysiłku społeczeństwa, lecz tylko jednostek, które dzięki pracy, pełnej poświęceń i trudności, doprowadziły u siebie, tę dziedzinę gospodarstwa do kwitnącego stanu. Wskutek tego doszliśmy do rażących kontrastów: mamy tereny, gdzie polowania mogą się poszczycić rekordowemi wprost rezultatami nawet w stosunku do krajów o starej kulturze łowieckiej, obok zaś można przejechać dziesiątki kilometrów, gdzie zając jest rzadkością, a kuropatw prawie się nie widuje. W porównaniu do całego obszaru Polski, tereny o naprawdę wysokiej kulturze w tym kierunku są bardzo nielicznemi i dlatego stanu obecnego za zdrowy i normalny uważać nie można. Wysiłek w celu uzdrowienia tych stosunków został zrobiony przez wydanie nowej ustawy łowieckiej, ale narazie tylko teoretycznie. Ta część ustawy, która miała na celu spopularyzowanie myślistwa na zdrowych zasadach, przez udostępnienie wszystkim polowania, tworząc wspólne obwody łowieckie,—całkowicie zawiodła. Narazie o tem mowy niema, żeby włościańskie kółka mogły u nas podnosić zwierzostan, na to składa się dużo przyczyn, ale głównie brak kultury i zmysłu społecznego w naszej wsi. W tym wypadku minęliśmy się z celem i w wielu razach, zamiast z chłopa zrobić hodowcę, zalegalizowano jego kłusownictwo. Te wszystkie czynniki składają się na to, że rozwój naszych stosunków łowieckich może w dalszym ciągu opierać się jedynie na inicjatywie prywatnej. Niestety, ta inicjatywa, która głównie spoczywa w rękach większej własności ziemskiej, musi osłabnąć, a nawet często ulec kompletnemu zanikowi, wobec katastrofalnego przesilenia w rolnictwie, które skazało na zagładę większość majątków i pozbawiło środków ich właścicieli. To musi pociągnąć w dalszym ciągu za sobą redukcję prywatnej straży leśnej i wszelkich wydatków na polowania, a redukcje te będą tem dotkliwsze, że liczba policji, zmniejszona do 2 — 3 na gminę, w żadnym razie nie jest w stanie utrzymać w karbach kłusowników, zwłaszcza jeżeli natrafia jeszcze na kompletną bierność władz wyższych w tych sprawach. Gwałtowne zmniejszenie się dużej własności ziemskiej odbyło się wcześniej w innych krajach i tam możemy obserwować wpływ tego na rozwój i stan myślistwa. We Francji rozdrobnienie większych majątków i demokratyczna ustawa łowiecka doprowadziły do tego, że grubej zwierzyny, poza nielicznemi dobrami arystokratów, prawie już niema, a w wielu miejscowościach strzela się jedynie do skowronków. W przeciwieństwie do tego Austrja, pomimo przewrotów socjalnych, potrafiła utrzymać swój doskonały zwierzostan, a nawet w niektórych rewirach górskich stan kozic i jeleni znacznie się powiększył. To jest zrozumiałe, jeżeli wie się, w jakiem przywiązaniu dla wszystkiego, co ma związek z przyrodą, żyje społeczeństwo austrjackie. Tam też we wszystkich parkach dzieci karmią nawpół oswojone wiewiórki i kozy, wyrabianie zaś ludzkich uczuć dla wszelkich stworzeń jest częścią składową programu szkolnego. Wielkie zasługi na tem polu położyła instytucja „Tirschützrekin"; jest ona praw-

dziwą potęgą, z którą muszą liczyć się władze, ona też z pomocą ludności Wiednia dokonała tak godnej podziwu akcji, jak wysłanie na jesieni aeroplanami na południe kilkudziesięciu tysięcy jaskółek, które wskutek spadku temperatury nie mogły odbyć podróży o własnych siłach. Na takich to czynnikach opiera się w Austrji gospodarka łowiecka i dzięki nim mogła ona wyjść zwycięsko z ciężkiej próby, jaką była wojna i połączone z nią przewroty. W naszem społeczeństwie nie jest jeszcze głęboko zaszczepione to zrozumienie dla zwierząt i wskutek tego nie mamy pewnych i trwałych podstaw dla rozwoju naszych organizacyj łowieckich. Podstawy te muszą być koniecznie stworzone, żebyśmy nie byli w przyszłości krajem, w jakim poluje się z braku innej zwierzyny, na przelotne ptaszki.

Dla akcji w celu stworzenia tych podstaw byłoby dużo dróg do wyboru, ale myślę, że najbardziej celową i zgodną z uczuciami humanitarnemi, byłaby akcja wśród młodzieży dla wzbudzenia zainteresowania i uczuć prawdziwej miłości dla mieszkańców naszych pól i lasów. Gdyby ten cel został osiągnięty, to wtedy nasza ustawa nietylko byłaby pięknym dowodem rozumu jednostek, ale możnaby mówić o całkowitem jej zastosowaniu w życiu.

TADEUSZ EPSZTEIN.



W SPRAWIE ODSTRZAŁU W PORZE GODOWEJ.

Mój artykuł umieszczony *) w N-rze 50-tym „Ł. P." pod powyższym tytułem, spotkał się z szeregiem uwag, bezpośrednio pod nim umieszczonych przez P. Mec. Garczyńskiego. — Sądzę, że w imię bezstronności Pan Redaktor użyczy mi jeszcze nieco miejsca na wyjaśnienie megu punktu widzenia co do paru z tych uwag.

Przedewszystkiem podnoszę znowu, co powtarzam w każdym prawie z dotyczących artykułów, iż bronię sprawy przedewszystkiem karpackich, a nie równinonowych kniei. Zabieram głos w interesie przyrody w której całe decnia żyłem — nie zaś kniei nizinnych ks. Radziwiłła i tym podobnych. Nie narzucam więc dla tutejszych, nie znanych mi stosunków swego zdania, — ale proszę o tę samą metodę u autorów, którzy Karpat nie znają.

Po tem zasadniczem postawieniu sprawy, przechodzę do szczegółów podniesionych przez P. Mec. Garczyńskiego.

1) Skoro to jeszcze potrzebne, wyjaśniam, że ewentualność ankiety w przedmiocie nowelizacji ustawy łowieckiej podniosłem tylko jako jeden ze środków, aby ujawnić wszelkie wyczuwane braki w obecnem prawie. Skoro ogółowi niewiadomo, jakie dezyderaty są już zgłoszone, to każdy przyzna, że możemy niepotrzebnie jedno kilkakrotnie zgłaszać, a coś ważnego ominąć w przekonaniu, że już musiało być uwzględnione. W tym kierunku ankieta dałaby przegląd opinji; ale są i inne sposoby, a w stadjum, w jakiem sprawa się zapewne już obecnie znajduje — wskazane jest przedewszystkiem podanie do wiadomości materjału nowelizacyjnego. — Z okoliczności, że Sz. Redakcja nie odrzuciła bodaj ani jednego artykułu w tym przedmiocie, ale nic do wiadomości ogółu nie podała, co wzięto pod uwagę w nowem opracowaniu, sytuacja dla tego ogółu nie wyjaśniła się.

2) Z głosów w sprawie tytułowej jedynie Prof. Domaniewski spotkał się z uznaniem P. Mec. Garczyńskiego. Zapewne rozchodzi się o Jego opinję podaną w artykułach w Ł. P. N-ry: 227 i 28/931. Otóż o ile jestem z całem uznaniem dla P. Prof. Domaniewskiego, jako zoologa, (na co dałem już dowody choćby w swym art. o wielkiej polskiej zoologji — Ł. P. Nr: 28/931): muszę podkreślić, że Pan Domaniewski w cytowanym artykule najwyraźniej oświetla sprawę tylko z punktu widzenia i swego zapału myśliwskiego— i takie jest uzasadnienie jego tam poglądów, a każdy przyzna, że takie naświetlenie może być też tylko brane na wagę myśliwego, a nie naukową.

3) Przechodzę do tematu pobudek w myślistwie. Nie zgadzam się z brakiem pobudki trofealnej przy polowaniach nawet na zające, gdyż istnieje ona też, czy to jako masowa, czy ilościowa zdobycz, czyli trofeum w liczbie; nigdy zaś, jak chce Sz. Autor — dla mięsa — u m y ś l i w y c h.

4) Również nie zgadzam się z zapatrywaniem, że motyw zdobycia trofeum zmusza nas konsekwentnie do polowania w porze godowej zwierzyny, jak to

*) z błędami sprostowanemi w N-rze 51/931. str. 1046 dół

Szan. Autor w pięknym, ale zupełnie teoretycznym wywodzie stara się wykazać.

Każdy praktyk-myśliwy przyzna, że jeżeli takie ma być kryterjum i racja polowania, to szata zwierzyny łownej jest w porze jesiennej piękniejsza, (poroża ciemniejsze, futro pełniejsze) — jak zbrukana w porze godowej; z drugiej strony nawet przy użyciu zaczerpniętego z przedhistorycznych czasów motywu rzekomej walki „w pełnej zbroi" stron obydwu — przysługuje zwierzowi pełne uzbrojenie raczej, gdy on normalnie włada wszystkiemi danemi mu przez przyrodę — dla swej ochrony — zmysłami, jak gdy na pierwszym planie ma tylko namiętne zaspokojenie popędu płciowego — i temu swe zmysły z nakazu natury podporządkowuje.

5) Zastanawiam się nad związkiem jaki mój P. Opozycjonista znaleźć usiłuje między bronionem przezemnie niezabijaniem zwierzyny w porze godowej — a wogóle niezabijaniem. Szan. Autor narówni z P. Domaniewskim twierdzi, że jeleniowi wszystko jedno czy padnie w porze godowej, czy kiedyindziej! Mojem zdaniem tego nie możemy wiedzieć, a sądząc rzecz po ludzku, przypuszczałbym, że byk odpowiednio zapytany — raczej wybrałby śmierć po udanem rykowisku!

Ale żart na bok! Co ta kwestja ma za związek z postawioną przez nas, obrońców spokoju w rykowisku, zasadą hodowlaną, aby wskazany przez przyrodę najsilniejszy byk spełnił swą misję — bezpieczny od kuli myśliwego?

Jeżeli niżej, zbijając potrzebę rezerwatów, Sz. Autor twierdzi dosłownie (str. 1012, druga kolumna): „Powiem więc tylko, że ingerencja człowieka w dziedzinie przyrody poszła już zbyt daleko, równowaga w niej istniejąca, zbyt daleko została już przez człowieka naruszona...", dlaczegóż na tem stanowisku nie stać bezwzględnie w kwestji kardynalnej — zupełnej ochrony rui zwierza, uznanego za godnego hodowli?

Wszelkie wywody z „Wild u. Hund'a", co robią niemcy u siebie et tutti quanti, aby w swych zdegenerowanych łowiskach — zamiast badyli dostać z powrotem łopaty na łosich głowach, — nas jeszcze szczęśliwie nie potrzebują obchodzić w kwestji jeleniej, bo nasze byki w Karpatach jeszcze z badylami nie chodzą i stanowią przedmiot zazdrości światowych. Ale na to jesteśmy u siebie gospodarzami, abyśmy nie dopuścili do tego, co Niemcy w Prusach wschodnich!

Powtarzam i rozwijam za Szan. Autorem myśl Jego tamże zacytowaną: „...Nie przeszkadzajmy tylko przyrodzie w regeneracji jej gatunków i w naruszaniu istniejącej równowagi w nich..." Dla tego chcemy stać natomiast „z bronią u nogi" w ochronie najważniejszych — rozrodczych — aktów w przyrodzie.

Sprawy rezerwatów nie ruszam tu, jako zbyt poważnej, aby ją mimochodem traktować, — zresztą przesądzonej już w świecie, jako co raz bardziej aktualnej.

6) Muszę jeszcze dotknąć sprawy głuszców, ponieważ P. Mecenas Garczyński na podstawie znanych sobie widocznie ich łowisk nizinnych ks. Radziwiłła — daje w tak ogólnej formie swą opinję, jak gdyby takież stosunki panowały i w innych okolicach Polski, a więc także w Karpatach.

Otóż kto zna Karpaty w głębi i u szczytów, wie, jak inne są tam warunki przyrodnicze, inny charakter siedlisk głuszców i z tąd warunki łowów a przedewszystkiem ochrony. W powyższem łowieckiem królestwie ks. Radziwiłła — większy odstrzał zdaje się być synonimem większej ochrony i na odwrót! Tylko w ten sposób mogę sobie wytłomaczyć, że mimo silnego odstrzału kogutów, ich stan wybitnie się poprawił obecnie. Okoliczność ta wykazuje niezawodnie nadzwyczajną ochronę ich siedlisk i tokowisk — w porównaniu zwłaszcza z okresem poprzednim. Nizinne łowiska dadzą się w ten sposób opanować, — ale Karpaty mogą im tylko zazdrościć tych warunków, nigdy, wobec trudności terenu i przyrody wogóle, choć w przybliżeniu dorównać! Kto chce i może — niech wierzy, że rozwój koguciego stanu zawdzięcza książe odstrzałowi właśnie w okresie toków! Ja podziwiam taki sukces gospodarki, ale dlatego, że osiągnięto go mimo odstrzału w czasie toków. Znowu powtarza się tu historja, stale stosowana przez P. Alberta Mniszka w „Łowcu" lwowskim do jeleni, że ponieważ strzela się daną zwierzynę w porze godowej, a ona jeszcze istnieje — to ma być dowodem, że ta pora odstrzału jest racjonalną! A rzeczywistość jest tak bliską i do odgadnięcia sama się poddaje wytłomaczeniem faktu wzmożonej w tym okresie ochrony!

Inna rzecz rozpatrzenie i zaklasyfikowanie łowów tych ze stanowiska sztuki łowieckiej i oceny zdobyczy w obydwu powyższych rodzajach łowisk. Czytałem wszystkie prawie wybitniejsze opisy tych łowów w naszych kniejach nizinnych, podawane w naszej literaturze ostatniego decnium i wcześniejszej. Nigdzie nie natrafiłem na tendencję rozpoznania jakości koguta przed jego odstrzałem, co jest przecie cechą poważniejszego łowcy przy jeleniu, koźle, kozicy i t. p.! Dziwić się temu, ani chcieć inaczej — nie można, skoro zasadza się głuszca i strzela się doń i do tego po nocy, że nie raz mierzy się w całkiem inne, złudne miejsce, niż to, gdzie kogut siedział, wali się naturalnie pełną garścią grubego śrutu, nieraz skutkiem ciemności nie dostatecznie oceniwszy odległość, — więc z rezultatem odlatującego postrzałka, lub rozbicia ptaka! Czy w tych warunkach może być mowa o przebieraniu w podchodzonej zwierzynie?! Trofeum polega na ilości podjętych kogutów — i na tem koniec. Nigdzie nie wyczytałem, by się zastanawiano w tych kniejach nad wiekiem i wachlarzem zdobycznym, by porównywano ilość piór w nim etc. W Karpatach wachlarz poniżej 18-tu piór uważa się za niedorosły i pilnie obserwuje stopień białego nakropienia. Nie rozpisuję się tu dalej na ten temat, bo poruszałem go już — przed laty. (odnośny artykuł umieściło „Łowiectwo Polskie" z d. Poznań, kwiecień, 1923. Nr. 110, str. 134), gdzie przy głuszcach i cietrzewiach podaję sposób wykonywania na nie polowania z większą ingerencją i zasługą, a więc i satysfakcją myśliwego strzelca i hodowcy — i tylko tak je wykonywałem.

Każdy nie uprzedzony przyzna, że przy sposobie polowania zwykle praktykowanym, zwłaszcza w kniejach nizinnych — prócz posiadania nie przemakalnego obuwia — wszystko robi podprowadzacz. Sztuką tylko jest znaleźć się w takiej, tak obsadzonej kniei

głuszcami, bo zapewne równych radziwiłłowskim rewirów wiele nie ma.

Kończąc, podkreślam, że zupełnie jednego zdania jestem z P. Mec. Garczyńskim, iż „nie należy nigdzie przeciwstwiać obozu ochrony przyrody światu myśliwych, lecz dążyć do ich współpracy" — i ta tendencja spowodowała mój początkowy artykuł w Nr. 50-tym „Ł. P."/931.

Dr. W. B.

* * *

Szanowny Autor, który zaszczycił mnie mnianem swego opozycjonisty nie wiem dlaczego uchylił się od walki wręcz i nie podjął napoważniejszego mojego zarzutu, że cała kwestja bezwzględnej ochrony niektórych gatunków zwierząt łownych w porze godowej jest dla sprawy rozmnoży i ochrony od degeneracji tych zwierząt najzupełniej obojętną, a dyskusja na ten temat, przy tego rodzaju ujęciu kwestji — jałową i nie prowadzącą do jakichkolwiek wyników.

W miejsce tego Szanowny Autor wybrał metodę drobnych ataków, mających osłabić wypowiedziane przezemnie, w rozwinięciu traktowanego na tem miejscu tematu, tezy i poglądy. Po nadwyrężeniu murów prawdopodobnie cały gmach moich wywodów miał w rozumieniu Szanownego Autora runąć, lub ulec poważnemu nadwyrężeniu.

Nie wiem dlaczego w polemice ze mną Szanowny Autor wytyka mi parę słów uznania pod adresem prof. Domaniewskiego wypowiedzianych wyłącznie za spokojny i rzeczowy ton jego artykułu, wolny od jakichkolwiek osobistych wycieczek. Merytoryczne odparcie zarzutów Sz. Autora pod adresem prof. Domaniewskiego jemu pozostawiam.

Tezy o „trofeum w liczbie" nieznanej dotychczas, nikt nie przyjmie. Jest ona sztucznem rozszerzeniem pojęcia trofeum, z którem wiąże się naturalnie wyobrażenie przedmiotów zdobytych, w dziedzinie myśliwskiej — rogów, kłów, wprawionych lub wypchanych skór itp. Samego faktu istnienia innych motywów przy polowaniu na zające, niż chęć zdobycia jaknajwiększej ilości mięsa bynajmniej nie zaprzeczałem i z tego co pisałem bynajmniej to nie wypływa. Że szata godowa do której i poroża cerwidów należą, jest najpiękniejszą to jest fakt stworzony przez naturę i powszechnie uznany przez ludzi, samo wyrażenie „szata godowa" stało się terminem technicznym nauk przyrodniczych dla oznaczenia najpiękniejszego wyglądu zwierząt, nie wiem więc czemu Szanowny Autor chce koniecznie wszystkich przekonać, że jest inaczej i czemu dla utrzymania i narzucenia innym swych upodobań i zapatrywań ucieka sią aż do zaprzeczania faktów oczywistych i powszechnie uznanych.

Broniąc swej tezy, aby broń Boże żadnego zwierza nie zabijać w porze godowej, Szanowny Autor w swych wywodach ad 5 nie widzi, że ja w swem stanowisku poszedłem daleko dalej od Niego. Gdy według Szanownego Autora dostatecznem jest, aby najsilniejszy byk poległ po udanem rykowisku, to z tego, co ja pisałem wypływa oczywiście, że w większości wypadków, gdy stan łowiska na to nie pozwala, byk taki wogóle bywa oszczędzany, aż póki wiek i rozpoczynające się wstecznictwo nie każą go usunąć z rewiru.

Ci czytelnicy „Łowca", którzy czytają pisma niemieckie widzieli niejednokrotnie fotografje wspaniałych łosi łopataczy, zabitych w rewirach Prus Wschodnich. Gdy się weźmie pod uwagę, że łosie pruskie należą do t. zw. nadniemeńskiej grupy łosi, t.j. łosi, zamieszkujących obszerne lasy, ciągnące się wzdłuż Niemna i jego dopływów, i że łosie tej grupy nie odznaczały się pięknem porożem i naogół nie osadzały łopat, to wynik hodowlany, osiągnięty w Prusach Wschodnich, musi napełnić szacunkiem każdego myśliwego i miłośnika przyrody. Ile to wymagało rozumnej celowej pracy i jakiego panowania nad pasją łowiecką, aby właśnie najpiękniejsze sztuki oszczędzać. Mogę o tem mówić, bo sam polowałem przed wojną na łosie w nadniemeńskich lasach i posiadam małą ale bardzo charakterystyczną kolekcję rogów i zrzutów. Widziałem też niemało rogów i zrzutów stamtąd pochodzących i muszę stwierdzić, że łosie te do typu łopataczy nie należały, choć żyły w zupełnie naturalnych, dzikich warunkach i nawet w bardzo małym stopniu były objektem łowów, chyba kłusowniczych. Tem bardziej zasługują na uwagę wyniki, osiągnięte w Prusach Wschodnich.



Rzadki tryplet. Fot. dr. St. hr. Tyszkiewicz.

Prócz tego wyniki te każdemu miłośnikowi przyrody, któremu drogie jest utrzymanie wspaniałego wyglądu naszych cerwidów, muszą dać bardzo wiele do myślenia. Wszak przykład ten może być uważany za rozwiązanie w pewnych wypadkach całej kwestji, za swego rodzaju odkrycie!

Stwierdza on, że drogą oszczędzania najlepszych byków można dojść do nadzwyczajnych wprost wyników. Czy pouczające wnioski, jakie można z tego doświadczenia wyprowadzić, nie mają zastosowania również i do karpackich jeleni? Czy i tam główną przyczyną upadku poroża nie jest czasem wystrzeliwanie najpiękniejszych sztuk i obecność dużej ilości lichych „jelonków". Przecież nie chodzi obecnie o ratowanie jeleni karpackich od zagłady, bo jest ich dużo, a stan ich ilościowy odpowiada niemal przedwojennemu, jeśli go w wielu rewirach nie przewyższył, chodzi zaś jedynie o uratowanie jeleni od jakościowego upadku. Przecież w jednem ze sprawozdań zamieszczonych w „Ł. P." p. W. Orski, opisując stan jeleni w jednym ze znanych rewirów wyraźnie wskazuje na znaczną ilość w nim słabych byków, które powinny

być jego zdaniem usunięte z łowiska. Czyż idąc logicznie nie możnaby z tych wyników doświadczenia wyprowadzić tezy hodowlanej, że wybieranie i odstrzeliwanie lichych sztuk, połączone ze świadomem oszczędzaniem sztuk pięknych, prowadzi do podniesienia się jakościowego poroży u cerwidów, wybieranie najlepszych sztuk do odstrzału prowadzi do upadku poroży, zaś odstrzał „bez wyboru", oczywiście pod względem ilościowym należycie unormowany, prowadzi do utrzymania „status quo". Czy wszystko to nie jest stwierdzeniem potrzeby „hodowli przy pomocy sztucera" — „Hege mit der Büchse" oraz starej zasady myśliwskiej: „Wprzód hodować a potem strzelać". „Erst hegen — dann schiessen". Czy na tle tych zasad propagowana przez Szanownego Autora zasada bezwzględnej ochrony cerwidów w poprze godowej nie wydaje się mniej głęboką i niezdolną do doprowadzenia do pomyślnych wyników?

Przecież zapoznanie pierwszych zasad nawet przy kompletnej ciszy w porze godowej, nie uratuje rewiru od zwyrodnienia, boć kto wystrzela, wszystko jedno o jakiej porze, swe najlepsze byki nie może się spodziewać, aby zwierzostan u niego nie upadł. Przeciwnie — kto rozumnie i stale oszczędza swe najlepsze byki, sądzę, że nie potrzebuje się obawiać upadku zwierzostanu, choćby nawet polował w czasie rykowiska. Przedewszystkiem bowiem — jeleń rodzi jelenia — a nie zasada.

Wreszcie punkt 6 — sprawa głuszców.

Nie wiem, skąd Szanowny Autor imputuje mi znajomość rewirów głuszcowych ks. Karola Radziwiłła. Rewirów tych właśnie nie znam, to zaś, co o głuszcach podałem, pisałem na podstawie bardzo dokładnej i blisko trzydziestoletniej znajomości wszystkich ważniejszych kniei, położonych na północ i wschód od Grodna i Wilna. Otóż liczba głuszców w tych kniejach powiększyła się w stosunku do przedwojennych stosunków bodaj pięciokrotnie i powszechnie we wszystkich lasach. Myśliwi, polujący w tamtejszych lasach, z wyjątkiem chyba nowicjuszów, głuszce podchodzą sami, podchodzenie po bagnie nie jest bynajmniej łatwem i kwestją nieprzemakalnego obuwia, zaś o uganianiu się za liczbą odstrzelonych kogutów niema mowy, ilościowo bowiem odstrzał jest ściśle unormowany i dla każdego myśliwego oznaczony, pozatem zaś cały sposób wykonywania polowania ujęty w starannie i szczegółowo opracowane regulaminy, których przekraczać nie wolno.

Wreszcie nie mogę pominąć milczeniem tego, o czem Szanowny Autor mówi na wstępie, a mianowicie, że broni sprawy karpackich, a nie równinowych kniei i zwierzostanów. Kto jak Szanowny Autor wysuwa zasadę bezwzględnej ochrony zwierzyny łownej w porze godowej i tak zawzięcie jej broni, nie może się potem zastrzegać, że broni karpackich, a nie równinowych kniei. Jest to bowiem ukryte odstąpienie od rzuconej zasady i schronienie się „na wąski odcinek Karpat"', na którym zresztą, jeśli Szanowny Autor jest w błędzie, również ratunku nie znajdzie. Podniesiona teza zbyt bowiem jest ogólną, aby, jeżeli ma być słuszną dla stosunków w karpackiej kniei, nie miała być słuszną dla stosunków w kniejach nizinnych i odwrotnie.

WALENTY GARCZYŃSKI.

KOLEJE STRZELBY NAPOLEONA.

Powołując się na mój artykulik p. t. „Napoleon, jako myśliwy", zamieszczony w „Łowcu Polskim" Nr. 9 z dn. 1.VII.1930 r., podaję niezwykłą kolej strzelby „boga wojny", uważając, że każdy wiadomy szczegół, mogący być materjałem do przyszłej rozprawki o Napoleonie, jako myśliwym — powinien znaleźć pomieszczenie w piśmie łowieckim.

Kiedy Napoleon w swym brawurowym pochodzie dotarł, jako zwycięzca, w głąb Niemiec, korzyli się przed nim różni książęta niemieccy, uginając swe sztywne karki i pochylając dumne dotąd czoła, przed wielkim Francuzem. Między innymi także król saski, August, uznał za potrzebne złożyć hołd potężnemu genjuszowi. Wiedząc, że Napoleon lubi polowanie, a szczególnie wielką przyjemność sprawia mu piękna i solidna broń, polecił swemu nadwornemu rusznikarzowi w Turyngji sporządzić strzelbę myśliwską, któraby była ostatnim wyrazem chwili, tak pod względem dobroci, materjału i wykonania, jak również pomysłowości w konstrukcji.

Bezstronnie trzeba przyznać, że rusznikarz z Turyngji wywiązał się znakomicie z poruczonego mu zadania i wypuścił ze swoich warsztatów istne cacko-arcydzieło. Jednorurka ta miała pozłacaną lufę, osadę z hebanu, inkrustowaną bogato srebrem. Cesarz raczył przyjąć ten upominek bardzo łaskawie, a widocznie przypadł mu wielce do gustu, bo odtąd używał tej broni na polowaniach i towarzyszyła mu ona we wszystkich jego wyprawach wojennych.

Po śmierci wielkiego wojownika dostała się ta strzelba w posiadanie Napoleona III, cesarza Francji, a synowca nieszczęśliwego wygnańca z dalekiej wyspy św. Heleny. Zdetronizowany Napoleon III wyjechał do Szwajcarji i tu pamiątkową strzelbę wielkiego stryja ofiarował swemu przyjacielowi, właścicielowi rozległych majątków, Schwarzowi, który z czasem przeniósł się do Budapesztu, gdzie drogocenna i pamiątkowa strzelba dostała się w spadku synowi jego, budapesztańskiemu inżynierowi.

Kiedy w czasie wojny rosyjsko - japońskiej wypłynęło na szeroką arenę świata nazwisko generalissimusa japońskiej armji, ks. Oyamy Iwao, dowiedział się inż. Schwarz, że ten zwycięzca Rosjan jest zapalonym wielbicielem Napoleona i namiętnym zbieraczem pamiątek po nim. Bez żadnych trudności zdobył się inż. Schwarz na wielki gest i wysłał marszałkowi Oyamie strzelbę Napoleona, z prośbą o przyjęcie jej do jego zbiorów.

Bohaterski Japończyk, zwycięzca pod Laojanem, Sza-he i Mukdenem, przyjął z wielką radością tak niezwykły dar, rewanżując się Schwarzowi drogocennym mieczem japońskim.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.



ZE STANDU W MONTE CARLO.

Stand otwarto 18 stycznia r. b.

Strzelanie do gołębi z nagrodami rozpoczęto 25 stycznia r. b.

Nagrodę „Grand prix de Monaco" rozegrano w dniach 17, 18 i 19 lutego r. b.; warunki zwykłe: 12 gołębi na 27 metrów, rozgrywka na 28 metrów.

Do konkursu stanęło 117 strzelców, w tem: Włochów 57, Francuzów 27, Belgów 12, Amerykanów 5, Argentyńczyków 4, Węgrów 4, Hiszpanów 3, Niemców 2, Czech 1, Kubańczyk 1, Austrjak 1. (W r. 1931 stanęło 156 zawodników — cyfra rekordowa).

Pierwszego dnia odpadło 71 strzelców, na drugi dzień pozostało 46 ($^{3}/_{3}$), na trzeci dzień pozostało 20 ($^{6}/_{6}$). Klasa była słaba, bo jeżeli w 1931 r. na 156 w pierwszym dniu odpadło 28 strzelców, cyli 18%, to w tym sezonie na 117 odpadło 71, czyli 60% zawodników.

Zwyciężył M. A. de Dora, Węgier $^{12}/_{12}$ (zwycięzca z 1931 r. $^{21}/_{21}$). O drugie miejsca walka była gorąca: $^{11}/_{12}$ było 8-u zawodników: Cavroy — Francuz, Stévenart — Belg, Vitalis — Francuz, hr. Czernin — Austrjak, Parietti, Castagnari, Butafava — Włosi, de Mola — Kubańczyk.

Zwycięzca otrzymał 60,000 franków, 40% wpisowych i złoty medal; drugi 20,000 franków i 25% wpisowych, trzeci 8,000 franków i 15% wpisowych i t. d.

Obecny książę Ludwik II wraz z Następczynią, w otoczeniu dworu, doręczył zwycięzcy złoty medal z rąk prezesa „l'International Sporting club'u" hr. L. de Gramedo, i sekretarza generalnego, L. Brousse.

Klub ten założony został w 1872 roku, a jest to 49 już konkurs z rzędu. Zwycięzcami byli dotąd: 19 Włochów, 12 Anglików, 7 Francuzów, 5 Węgrów, 3 Belgów, 2 Austrjaków, 1 Hiszpan.

WŁ. SŁONCZYŃSKI.

ROZMAITOŚCI.

SMUTNA STATYSTYKA.

Dowiadujemy się, że w r. 1931:

1) wydano około 50.000 kart łowieckich,
2) kółek myśl. zarejestrowanych jest 762 o ogólnej liczbie członków 13.500,
3) tylko 120 kółek z około 5.000 członkami należy do Polsk. Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

A zatem tylko 10% ogółu myśliwych w Polsce odczuwa potrzebę zrzeszania się, — 17% należy wprawdzie do kółek, lecz nie uznaje Związku, a reszta, t. j. 73% idzie luzem jako „dzicy" — jakie to smutne!

Na zachodzie taki stan nie byłby wprost do pomyślenia — tak np. w Niemczech niema „dzikich", tam każdy myśliwy nim „zapisze swą duszę św. Hubertowi" wstępuje do Związku, uważając to jako pierwszy swój obowiązek i prawdziwy zaszczyt.

Nasza natura jest, niestety, inna: lubimy rozkazywać, krytykować, a nawet „psioczyć", ale organizować się — to uważamy za rzecz zbędną, obciążającą niepotrzebnie budżet osobisty każdego myśliwego.

Takie rozumowanie jest tylko dowodem wielkiej krótkowzroczności, a nawet obojętności dla sprawy

łowieckiej, gdyż „w jedności siła!" i tylko wtedy będziemy mogli coś zrobić, gdy wszyscy, bez wyjątku znajdziemy się na jednem podwórku, przy jednym stole, a to nastąpi dopiero wtedy, gdy każdy z myśliwych, jako członek jednego z klubów, względnie kółek, będzie równocześnie członkiem Związku w Warszawie.

Złączeni w jedną silną organizację, będziemy mogli występować skutecznie wobec naszych władz w sprawie ochrony zwierzyny, tępienia kłusownictwa i t. p., organizować handel zwierzyną, zająć się hodowlą psów myśliwskich i t. d.

Inż. BOLESŁAW DALBOR.

CZARNY ROGACZ.

Kilka razy czytaliśmy w „Łowcu Polskim" w ostatnich latach, o sporadycznie napotykanych białych kuropatwach (albinosach) w październiku ub. r., jak podaje w swej korespondencji w numerze 3-cim „Łowca Polskiego" p. Jan Krajewski, udało się ująć żywcem białą kuropatwę. Dalej czytamy w tymże numerze, że na Pokuciu w listopadzie ub. r. upolowano piękny okaz białego lisa — albinosa.

Bywały wypadki pojawiania się białej jaskółki, lub przysłowiowego białego kruka. Nigdy natomiast nie słyszałem, aby nasza kochana i zgrabna sarenka, a tem bardziej rogacz przybierały suknię czarną.

Korzystając często z gościnności p. radcy Sypniewskiego, zauważyłem w maj. Skoraszewice (Wielkopolska), na burakach, w czerwcu ub. r. czarnego rogacza. Następnie w lipcu tegoż roku, jeszcze raz obserwowałem go przez szkła i przekonałem się, że jest czarny. Jest to rzadki wypadek melanizmu. Ponieważ wówczas nie miałem przy sobie sztucera musiałem z odstrzałem poczekać do lepszej sposobności.

I rzeczywiście pod koniec sezonu sposobność taka nadarzyła się. Upolowałem rogacza i skonstatowałem, że kolor jego sukni jest tak ciemny, iż śmiało może być nazwany czarnym. Dałem go do wypchania, aby zachować, jako okaz.

Przy preparowaniu barwa sukni nieco wyjaśniała, pozostaje jednak w odcieniu czarno - bronzowym.

Uzupełniając ten opis, muszę dodać, że badyle rogacz ten ma normalnej (jasnej) barwy, ciemniejszej ku górze, jak również posiada, jak reszta rogaczy, białą kokardę na szyi.

Natomiast głowa jest pokryta sierścią czarną, trochę przetykaną siwizną, zewnętrzna część łyżek jest również czarna, jak i cała suknia.

ADAM PIETRASIEWICZ.

ZABÓJSTWO GAJOWEGO.

W lesie, niedaleko Cumania, znaleziono zwłoki gajowego ordynacji ołyckiej, R. Szymańskiego, z roztrzaskaną głową, prawdopodobnie od uderzeń ostrza siekiery. Zachodzi przypuszczenie, że Szymańskiego zamordowali kłusownicy.

FUNDUSZ OFIAR NA OCHRONĘ ŁOSIA.

Powołując się na myśli, wyrażone w artykułach pp.: St. Leskiego w N-rze 26 „Łowca Polskiego" z r. 1930 i prof. J. Gieysztora w N-rze 8 „Łowca Polskiego" r. b., otwieramy listę ofiar na fundusz ochrony łosia.

Pierwszej wpłaty dokonał p. St. Leski, jeszcze w roku ubiegłym, ofiarowując na cel powyższy zł. 10.

Ofiary przyjmuje administracja „Łowca Polskiego", Warszawa, Nowy Świat 35, konto czekowe P. K. O. Nr. 8082.

Przy wpłatach na P. K. O. prosimy podać na blankiecie: na ochronę łosia.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Firma istnieje od roku 1848.



PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW I ZWIERZĄT

Nagrodzona wieloma medalami na Wystawach oraz oprawa rogów. Wyprawa skór z włosem i robienie dywanów Sprzedaż rogów oraz wypchanych ptaków i zwierząt do szkół.

Antoniego Łastowskiego i Syna

Warszawa, Krak. Przedm. 22, m. 19, front

Telefon Nr. 337-84.

OGŁOSZENIA DROBNE

Nasiona sadzonki drzew leśnych i roślin pastewnych dla zwierzyny oraz **żywe bażanty i jaja** bażancie poleca po cenach konkurencyjnych Zarząd Lasów xx Czartoryskich **Nadleśnictwo Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska.

Praktyki lasowej poszukuje od zaraz student leśnictwa z wyższem wykształceniem handlowem. Łaskawe oferty: R. Litwiński Brzezinka. Śląsk.

Sosnę pospolitą 16 zł. kg. sadzonki 3 zł. za 1000 oraz wszelkie inne **nasiona sadzonki narzędzia leśne i ogrodowe, żywą zwierzynę** jajka bażancie karmę dla zwierzyny zatrzaski **siatki druciane** formularze leśne dostarcza po cenach konkurencyjnych **„Darz Bór"** Poznań Wielkie Garbary 20 tel. 1820. Prosimy żądać bezpłatnych cenników i bezinteresownych porad prawnych.



Tow. Hodowli Psów Myśliwskich

ZAKŁAD

hodowli i tresury psów myśliwskich

ŻÓŁTA KARCZMA W SŁUŻEWIE

tel. 8. 55. 84

(dojazd tramwajem 12. 19 i 1, ewentualn. samochodem)

Konto P. K. O. 207-15

Pensjonat dla dorosłych psów, tresura, wychów szczeniąt, kopulacja, pośrednictwo przy sprzedaży

Rozpoczęła ponownie przyjmowanie psów do tresury.

Informacje u kierownika Żółtej Karczmy p. Kowaluka lub u gospodarza zakładu p. A. Brudnickiego Krucza 34, skład apteczny telef. 851-14, do godz. 2 pop.

KAŻDY WYGRYWA!

KONKURS spożywców cukru

pod hasłem:

szczypta soli-szczypta cukru

NAGRODY: (przez losowanie)

I-sza 100 zł., II-ga 50 zł. i 14 nagród po 25 zł.

Każde mu uczestnikowi Konkursu zostanie bezpłatnie przesłana gra towarzyska, lub wielobarwnie ilustrowana książka

Należy z pomiędzy niżej przedłożonych haseł:

1. **Cukier** — *daje smak jarzynom*
2. **Cukier** — *udelikatnia mięso*
3. **Cukier** — *najlepsza zaprawa zupy*
4. **Cukier** — *to podstawa wykwintnego sosu*

wybrać dla propagandy takie, które w Polsce najlepiej w praktyce się przyjmie, aby zapoczątkować zasadę, stosowaną w kuchniach zachodniej Europy.

Wszędzie, gdzie używamy soli, należy również używać cukru!

Naklejć znaczek 10 gr. i wysłać w otwartej kopercie z napisem „druk".

Do Biura Propagandy Konsumcji Cukru Warszawa, Karowa 20

Głosuję za №

Imię i Nazwisko

Adres

Nr. 156.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

Głuszec, monografia B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gurtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3.00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona i nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana—25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego: zesz. 1 — 1,40 zł.; zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł., 2) „Nad Nilem Niebieskim" — 6,00 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł., 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł., 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksander Janta Połczyński — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). „Skowronek" — 3,60 zł. „Kruk" — 4,50 zł. „Słonka" — 4 zł.

J. W Kobylański. „O zwierzyńcu w Katowicach" 3 zł., „Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie" 3 zł., „O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie" 1 zł., „O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie" 1,50, „O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie" 1 zł., „Humor i łacina myśliwska" 1,50.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy. Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1,40 zł.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 19.